

PRZYJACIEL PARALITYKA – moc przyjaźni

Pewnego dnia, gdy nauczał, siedzieli przy tym faryzeusze i uczeni w Prawie, którzy przyszedli z miejscowości w Galilei, Judei i Jeruzolimy. A była w Nim moc Pańska, że mógł uzdrawiać. Wtem jacyś ludzie niosąc na łożu człowieka, który był sparaliżowany, starali się go wnieść i położyć przed Nim. Nie mogąc z powodu tłumu w żaden sposób go przenieść, wyszli na płaski dach i przez powałę spuścili go wraz z całym łożem w sam środek przed Jezusa. On widząc ich wiarę, rzekł: «Człowieku, odpuszczają ci się twoje grzechy». (...) Rzekł do sparaliżowanego: «Mówię ci, wstań, weź swoje łoże i idź do domu!» I natychmiast wstał wobec nich, wziął łoże, na którym leżał, i poszedł do domu, wielbiąc Boga.

Łk 5,17-20, 24-25

Kochani!

Mój przyjaciel jest ponownie zdrowy! Stał się cud! Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek doświadczę takiej radości, jaka teraz zagostiła w moim sercu. Paraliż, który przenikał ciało Helego i ranił moje serce, nagle znikł, nie ma go, a wystarczyło tylko jedno słowo Nauczyciela. Ale po kolei.

Od lat dziecięcych stanowiliśmy zgraną paczkę, pięciu chłopaków, których zawsze widziano razem. Gdy pojawił się jeden, wszyscy wiedzieli, że za chwilę zjawi się czterech pozostałych. Przez lata koleżeństwo przemieniło się w dojrzałą przyjaźń. Niektórzy założyli już rodziny i wszystko działa się jak w bajce, gdy pewnego dnia Heli, najmłodszy z nas, powiedział, że się źle czuje i wcześniej wyszedł z naszego spotkania. Nazajutrz wcale nie przyszedł, nigdy to się nie zdarzało, od razu więc ruszyliśmy do jego domu. Drzwi otworzyła nam jego matka, cała zapłakana, zrozpaczona, nie potrafiła powiedzieć ani słowa, powtarzała tylko: Heli, Heli. W mgnieniu oka byliśmy w pokoju przyjaciela. Leżał w gorączce, cały spocony, twarz jego wykrzywił okropny grymas. Nie było żadnej wątpliwości: Heli, który jeszcze wczoraj radośnie śmiał się z nami i cieszył się życiem, był sparaliżowany. Wiele dni upłynęło zanim pogodziliśmy się z tym faktem, codziennie odwiedzaliśmy go, opowiadaliśmy, co się danego dnia wydarzyło w naszym małym miasteczku. Nie mógł nic powiedzieć, tylko jego oczy do nas mówiły: uśmiechały się, smuciły, dziękowały za każdą chwilę wspólnie spędzoną. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a Heli ciągle mógł do nas mówić tylko swoimi oczami. Żaden lekarz nie był już w stanie nic poradzić. Jedynym lekarstwem i balsamem w jego cierpieniu byliśmy my oraz nasza przyjaźń.

Pewnego szabatu, kiedy wracałem z synagogi, usłyszałem bardzo ożywioną dyskusję. Mówiono o jakimś Jezusie, Nauczycielu z Nazaretu, który zyskuje coraz więcej uczniów. Właściwie chciałem iść dalej, nie interesowali mnie tacy kolejni nowinkarze, gdy nagle dotarło do mnie jedno zdanie: „A jakie cuda On działa, podobno uzdrawia trędowatych i sparaliżowanych”. Sparaliżowanych! On musi tu przyjść - pomyślałem - tylko On może pomóc Helemu. Od razu pobiegłem do przyjaciół. Zaczęliśmy zbierać informacje o Jezusie, gdzie był, co czyni, co mówi. Modliliśmy się codziennie, aby Jahwe skierował Jego drogę do naszego miasteczka, a jeżeli tak się nie stanie, pójdziemy Go poszukać i opowiemy Mu o Helim. Do tego ostatniego jednak nie doszło, bo wczoraj, tak, właśnie wczoraj, wszystko się dokonało.

Jak zwykle przyszedłem do chorego przyjaciela i już otwierałem usta, aby opowiedzieć mu, co ostatnio uczony w Piśmie wyjaśniał nam w synagodze, gdy do mieszkania wtargnął, bo, tego nie można było nazwać wejściem, Izaak. Zdyszany nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, aż w końcu wyksztusił: „Jezus przyszedł do miasta”. Chwilę za nim przybiegli pozostali przyjaciele. Wiedzieliśmy, że Nauczyciel zatrzymał się w jednym z domów w centrum miasteczka. Nie było to daleko. Heli patrzył na nas swoimi oczami i z pewnością nie wiedział, co się dzieje, dlaczego jesteśmy tak poruszeni i zdenerwowani. Decyzja zapadła szybko: nie mamy ani chwili do stracenia, bierzemy go razem z jego łożkiem i zaniemy do Jezusa. Gdy chwytałyśmy każdy za jeden koniec, nasz chory był już przerażony. Powiedziałem mu tylko, że ma się nie bać, bo idziemy do Cudotwórcy. Nie wiem, co sobie pomyślał, ale zamknął oczy i wydawało mi się, że zaczął się modlić. Pospiesznie przemierzaliśmy trasę do domu, w którym Jezus się zatrzymał. Ludzie na ulicach dziwnie się nam przyglądali, pokazywali palcami szeptali do siebie, ale nas to zupełnie nie obchodziło. Gdy powoli zbliżyliśmy się do celu, ogarnął mnie dziwny niepokój, na drodze spotykaliśmy coraz więcej ludzi,

którzy zmięrzali w tym samym kierunku. Nie myliłem się. Potężny tłum otaczał cały dom. Nikt na nas nie zwracał uwagi, nikt nie chciał ustąpić miejsca, ani przepuścić bliżej. Zaczęli na nas krzywić i wydzierać się, że robimy z tym chorym niepotrzebny rwetes, podczas gdy oni chcą słuchać Nauczyciela. „Teraz On naucza, a nie uzdrawia”, wołali inni. Tłum był nieprzejednany. Odwrócili się do nas plecami i wszelka rozmowa urwała się. Staliśmy więc zrezygnowani, zrozpaczeni, ale przede wszystkim oburzeni na głupotę i obojętność naszych ziomków. Chcieliśmy już wracać, gdy Izaak, który niezauważalnie na chwilę odszedł od łóżka, powiedział, że jest szansa spuścić łóżko przez dach, jest on bowiem bardzo słaby i łatwy do szybkiego usunięcia. Za chwilę Heli opuszczany był powoli na linach do stóp Nauczyciela. Faryzeusze i uczeni w Piśmie bez ogródek wyrażali swój gniew z powodu przerwania ich dysputy, oczywiście nie przebiegali przy tym w słowach, zwłaszcza pod naszym adresem: „Jak śmiecie przerywać tak poważne rozmowy” - cytuję te najdelikatniejsze.

Jezus jakby nie zwracał na nich uwagi, natomiast wytrwale przyglądał się nam, którzyśmy pełni napicia trzymali liny, na których zawieszona było łóżko Helego. Spoglądał właśnie na nas, nawet na chwilę nie skierował wzroku na naszego przyjaciela. Aż w końcu, po dłuższej chwili milczenia i ciąglego wpatrywania się w nas, powiedział: „Odpuszczają ci się grzechy”. Potem nastąpił jakiś dialog między nauczycielem a uczonym i nagle, nie dowierzałem własnym oczom, Heli wstał wziął łóżko i wyszedł. Możecie sobie wyobrazić, co później się działo.

Drodzy Przyjaciele, po tym wszystkim co się wydarzyło, jedna rzecz jest dla mnie nie do pojęcia. Dlaczego Jezus tak długo przypatrywał się właśnie nam, przyjaciółom Helego. Dlaczego nie patrzył na niego, ale właśnie na nas, czterech szalonych kolegów? A na dodatek, jakby było mało moich własnych wątpliwości, jeden z uczniów Nauczyciela przekazał nam później, że Jezus widząc właśnie naszą wiarę - tych, którzy „przytachali” sparaliżowanego - uzdrowił go. Tego już zupełnie nie mogę pojąć. Jaka była nasza wiara? W co my właściwie wierzyliśmy wtedy? Chyba tylko w Boga i w przyjaźń, że nie można pozostawić Helego, że trzeba mu pomóc, że on dla nas się najbardziej liczył. Wierzyliśmy, że nasza przyjaźń uzdrowi go, i że dla niej nie ma rzeczy niemożliwych. Ja mocno wierzyłem w moc przyjaźni, gdy spuszczałem łóżko do stóp Jezusa, ufałem, że Rabbi nie może nam odmówić, bo przecież my tak bardzo kochaliśmy Helego. A ten uczeń twierdzi, że Jezus widząc naszą wiarę uzdrowił go. Czyżby wiara w przyjaźń miała taką moc? Nie wiem, ciągle mam wiele wątpliwości, ale cieszę się, że nie ma dla mnie większej radości niż fakt, że mogę się pod tym listem podpisać:

Przyjaciel Helego